

Chciało się do niej wracać. O Ninie Antkowiakowej

To było tak, że chodziłyśmy dla niej, żeby po prostu mieć z nią kontakt. Mimo że właściwie polegało to w dużej mierze na tym, że ona opowiadała. Pamiętam, że był tam taki archaiczny... nie wiem nawet, jak tę maszynę nazwać. Nazwałabym to rzutnikiem. To było coś takiego – ona miała stare albumy, powiedzmy ze sztuką średniowieczną, kładła to na taką platformę i to był system luster, który to rzucał na ścianę. Omawialiśmy na przykład ołtarz Wita Stwosza. Nie było w tych czasach multimediiów. Było to bardzo oldskulowe, ale bardzo fajne. Dla mnie to było coś takiego, że właściwie nie spotkałam drugiej takiej osoby. Bardziej było to spotkanie z nią, niż sama historia sztuki. Wszystkie jej żarciki, uszczypliwości.

Myśmy nawet miały taką ksywkę dla niej, ale ona o tym nie wiedziała (śmiech). Tak wewnętrznie mówiłyśmy na nią Pani Myszka, bo ona trochę była taką Panią Myszką. Niepozorną w sumie już wtedy istotą, bo już właśnie była starszą panią, była przykurczona. Ale potrafiła właśnie... Raz, że dużo wiedziała, a dwa, że potrafiła naprawdę i opieprzyć (śmiech) i dać do myślenia. Ale w taki fajny sposób, że chciało się do niej wracać.